

cujo

Świeża Krew

Julce znudziło się rysowanie kredą. Nabrała ochoty na grę w piłkę. Wzięła do rąk niewielki balon z grubej gumy owinięty szczelnie szarymi szmatami, a następnie rzuciła o skalną ścianę po czym ją przeskoczyła, gdy ta się odbiła. I tak zaczęła się bawić.

Uwielbiała przychodzić w to miejsce właśnie ze względu na tą niemal idealnie płaską, skalną ścianę, która świetnie nadawała się do rysowania po niej kredą. Przed chwilą skończyła rysować Bramina, a zaraz obok niego znajdowało się rozłożyste drzewo. Daleko po prawej widniał jej pierwszy rysunek – jej mama – i to właśnie z tego rysunku była najmniej zadowolona, gdyż wcale nie przypominał jej mamy.

Rysunków było więcej, Julka przychodziła tutaj od paru tygodni i zdążyła już ich trochę natworzyć. Nie musiała się martwić brakiem miejsca, ściana była bardzo szeroka i wysoka. Stanowiła bok dużego skalistego pagórka, w cieniu którego, u wschodniego boku, leżała wioska Julki. Ona sama znajdowała się teraz po jego północnej stronie.

Oprócz rysowania, Julka lubiła też grać w piłkę, tak jak teraz. Piłkę dostała od Wikiego na ostatnie, czyli siódme urodziny. Była bardzo szczęśliwa, że ktoś taki jak Wiki pamiętał o jej urodzinach, ale to może nic dziwnego – w końcu była najmłodszą osobą w wiosce.

Bardzo lubiła Wikiego. Uważała że jest najfajniejszym dorosłym jakiego kiedykolwiek знаła. Jeśli dodać do tego fakt, że był on najmądrzejszą i najważniejszą osobą w osadzie, to Wiki był po prostu kimś wielkim. Absolutnie fajnym dorosłym. Gdyby Julka знаła słowo „wyjątkowy” na pewno by go użyła.

Zbyt mocno rzuciła piłkę o skałę i spadła ona za Julkę, po czym odbiwszy się od kępy trawy poleciała daleko w prawo. Ziemia lekko tam opadała więc sturlała się jeszcze dalej, aż poza krawędź północnego boku pagórka. Julka westchnęła. Głupia trawa, pełno jej tu rośnie, a jedyne do czego się nadaje to psucie zabawy z piłką. Podskakując ruszyła w jej stronę.

Chyba muszę już wracać do domu, pomyślała. Mama już pewnie zrobiła jedzenie, może zacząć mnie szukać. A jak mama musi mnie szukać to potem zawsze na mnie krzyczy i dostaję karę. Tak, lepiej już wracać.

Dotarła do piłki, podniosła ją. I zamarła z przerażenia. W niewielkiej odległości od niej, tuż za rogiem pagórka (którego ściany w tym miejscu istotnie tworzyły niemal kąt prosty) stały potwory. Nie wiedziała co to dokładnie. Ale to MUSIAŁY być potwory, nic innego tak przerażająco nie mogło wyglądać.

Julka stała jak sparaliżowana. Potwory stały również. Próbowwała się ruszyć, ale nogi jak gdyby wrosły jej w ziemię. Chciała uciec, musiała. Jednak jedyne co była w stanie w tej chwili robić to stać i wybałuszonymi oczami wpatrywać się w te ohydne bestie.

Nagle kreatura, która stała najbliżej zrobiła krok w stronę Julki. Potem drugi.

Trzeci.

To wystarczyło, by niewidzialne więzy uniemożliwiające jakikolwiek ruch w końcu puściły. Julka rzuciła się o panicznej ucieczki. Biegła wzdłuż płaskiej ściany ile sił w nogach. Po pewnym czasie obejrzała się – gonią ją!

- Ratunkuuuuu! Mamooo! – wrzasnęła przeraźliwie.

Dobiegała już do momentu gdzie bok pagórka łagodnie skręcał w prawo i po chwili widziała już szalasy, w których mieszkali ludzie z osady. Nie przestawała krzyczeć. Czuła, że już traci siły. Już długo nie pobiegnie. Gdy tylko dotarła przed pierwszy szalasz upadła na kolana. Natychmiast, otoczyli ją dorośli.

- Pot... wory... – próbowała mówić i złapać oddech jednocześnie – Mama... Pot...

- Dziecko, co z tobą?! – Matka Julki – Julia – przepchnęła się przez tłumek otaczający jej córkę i natychmiast przytuliła ją do piersi chcąc ją uspokoić – O czym ty mówisz?
- Potwory! Gonia mnie! O tam! – wskazała ręką kierunek z którego przybiegła.
- Przecież tam nikogo nie ma!
- Są za pagórkami! Gonia mnie...
- Co tu się dzieje? – Głos, który rozbrzmiał był bardzo spokojny i dobrotliwy.

Wszyscy skierowali spojrzenia w stronę dobrze zbudowanego mężczyzny około trzydziestki odzianego w czerwoną koszulę i niebieskie dzinsy. Był wysoki, a na ramiona opadały mu długie czarne włosy. To był Wiki.

- Wiki! Potwory! Mnie gonia! – rozpaczliwie krzyczała przerażona Julka.
- Ale... to niemożliwe. – przemówił Wiki – przecież mówiłem wam, że w tym rejonie nie ma żadnych potworów. Pamiętasz? – Wiki mimo wszystko czuł niepokój. Julka była mądrą dziewczynką i z pewnością nie miała żadnych urojeń psychicznych.
- Ale tam, mnie gonili! Naprawdę!
- A jak wyglądali i ilu ich było? – spytał Wiki.
- Nie wiem ilu dokładnie... – odpowiedziała Julka pociągając nosem – ale wyglądali ohydnie! Jeden miał wielkie żółte oczy! Szli stamtąd... SA! NIE! NIE! – rozdzierająco wrzasnęła po czym rozszlochała się spazmatycznie.

Istotnie, zza pagórka wyłoniły się trzy sylwetki. Mieszkańcy wydali jęk przerażenia. Zaczęła się rodzić panika, tylko kilku mężczyzn pozostało spokojnych, którym udzieliło się opanowanie Wikiego.

- Idę po broń! - Powiedział jeden z nich.
- Stójcie! – krzyknął Wiki, tak by wszyscy go słyszeli – Stójcie, nic nam nie grozi! Spokojnie! Przysięgam że wszystko będzie dobrze!
- Ale może jednak pójść po broń? – nie rezygnował mężczyzna.
- Nie! Nie ma sensu. – rzekł Wiki, po czym dodał po cichu, jakby tylko do siebie – Zresztą i tak byśmy nie zdołali ich nawet zadrasnąć...

Wiki wystąpił kilka kroków naprzód i czekał. Wszyscy czekali. Trzy nieznane postacie zbliżały się wolnym krokiem. Mieszkańcy wioski z niepokojem się w nich wpatrywali, zapewnienia Wikiego nie odeгнаły ich strachu całkowicie.

Co to jest, u licha? Pomyślała sobie Julia, matka Julki. Gdy nieznane postacie dotarły bliżej, dało się zauważyć, że to raczej nie są potwory. Prędzej jakieś mutanty, choć Julia pewności nie miała, bo żadnego nigdy nie widziała. Słyszała tylko o nich. Ich skąpy opis, który znała, pasował idealnie – chodzili na dwóch nogach i wyglądali ohydnie. Ponadto zauważyła, że dwóch z nich wyglądało inaczej niż trzeci, idący na czele. Nie mieli oczu, tylko wielką czarną plamę na twarzy, a poniżej dwa żółte koła odstające na boki. Ponadto z przodu znajdowały się jakieś... rury? Na plecach nosili chyba coś w rodzaju butli z gazem, Julia nie widziała dokładnie.

Trzy osobniki stanęły naprzeciw Wikiego i mieszkańców. Zapanowała złowroga cisza.

Ten trzeci, wyglądał niemal zupełnie inaczej. Głowę miał nieco wydłużoną do tyłu i wyrastało z niej coś na kształt rogów. Spoglądały z niej wielkie żółte oczy. Na potężnych rozmiarów ramieniu znajdował się dziwny symbol. Miecz, jakieś koła zębate... W głowie Julii kołatało się tylko jedno pytanie: kim oni są?

Jeszcze jedna rzecz przemawiała, za tym, że to nie były potwory: byli uzbrojeni po zęby. Na prawym udzie, w kaburach, tkwiły pistolety; na lewym natomiast znajdowały się duże noże w pochwach. Każdy trzymał inny karabin. Julia nie znała się na broni i nie wiedziała, że dwóch trzyma AK 47, a ten rogaty Thomsona.

Spojrzała na Wikiego, który, ku jej przerażeniu, lekko się uśmiechał.

- Ty zapewne tu dowodzisz – Wiki wskazał rogatego przerywając tym samym ciszę – pokaż zatem swoją twarz.

Rogaty po krótkiej chwili podał Thomsona jednemu z pozostałych tajemniczych osobników. Następnie złapał się za głowę. Coś zaszumiało, coś syknęło i rogaty przestał być rogaty, bowiem zdjął głowę, a pod nią znajdowała się druga – zwyczajna, męska, ludzka głowa pokryta krótkimi kasztanowymi włosami. Mieszkańcy jednocześnie westchnęli, nie wiadomo czy z ulgi, czy bardziej ze zdziwienia.

Gdyby to były inne okoliczności, to Julia by pomyślała, że twarz nieznanego jest bardzo urodziwa i przystojna. Głos przybysza brzmiał bardzo przyjemnie, wręcz ciepło:

- Cześć Michael – zwrócił się do Wikiego, na którego twarzy już nie było uśmiechu – Dawno się nie widzieliśmy.
- Cześć Akon. – Odpowiedział Wiki – Rzeczywiście dawno się nie widzieliśmy. Po co tu przybiliście?
- Nie udawaj, wiedziałeś, że w końcu cię znajdziemy. No i jesteśmy.
- Tak. Widzę. I po mnie jednego szliście uzbrojeni jak na wojnę? W pancerzu wspomaganym? Z karabinami? – w głosie Wikiego zabrzmiała zdecydowanie gorzka nuta.
- Oj Michael! – lekko zachnął się nazwany Akonem mężczyzna – nawet rok nie minął odkąd nawiałeś z Bractwa. Co? Już pustkowie wyżarły całą twoją inteligencję? Przecież dobrze wiesz, że to tereny przez nas niekontrolowane... mało tego, nawet nieznanne. Nie wiedzieliśmy za bardzo czego się spodziewać, dlatego musieliśmy być gotowi na każdą ewentualność. Ale widzę, że jest tu dość spokojnie.
- Tak, jest spokojnie. – odparł Wiki – Nie stójmy, tutaj tak. Jesteśmy cywilizowani, więc zapraszam w gościnę. Wejź do mojego szałasu. Inni moi współplemieńcy zaopiekują się...
- Nie będzie żadnej gościny. – Przerwał obcesowo Akon – Jeszcze to do ciebie nie dotarło? Zabieramy cię, w tej chwili. Chcieliśmy podejść po cichu, niezauważeni, ale cóż... nie udało się – skierował wzrok na Julkę, która pod jego spojrzeniem jeszcze głębiej wtuliła się w objęcia matki.
- Wiki... kim oni są? – zapytał młody mężczyzna z tłumu mieszkańców osady.
- Wiki? – parsknął Akon – Rany, co to za imię?
- Nieważne... Akon, słuchaj, poświęć mi chociaż chwilę. Chciałbym z tobą moment porozmawiać, proszę, wejź do mojego szałasu. Twoimi podwładnymi też się zajmiemy.

Akon spoglądał na Wikiego w milczeniu. Po chwili rzekł do towarzyszy:

- Stanać przed jego szałasem. Nikogo tam nie wpuszczają, ani nikogo nie wypuszczają z wyjątkiem mnie. Od dzikusów niczego nie przyjmować.
- Tak jest! – równocześnie odpowiedzieli dwaj podwładni Akona. On sam wszedł za Wikim do środka szałasu.

Wewnątrz panował półmrok, jedynym źródłem światła było odsłonięte wejście do szałasu, po bokach którego stali teraz dwaj podwładni Akona. Wyposażenie szałasu było bardzo ubogie – mała szafka pod prawą ścianą, obok mała półka z poustawianymi figurkami z drewna. Podłoga była przykryta kilkoma grubymi warstwami jakiegoś materiału, ciężko było określić jego kolor przy tej dawce światła.

Siedzieli na podłodze naprzeciwko siebie. Akon Lennox, zasłużony członek Bractwa Stali znakomicie zapowiadający się na jednego z jego przywódców. Po drugiej stronie Wiki, a

właściwie Michael Grant, były zasłużony członek Bractwa Stali, a obecnie ścigany dezertier. Niegdyś wielcy przyjaciele, dziś ludzie stojący po przeciwnych stronach barykady.

Znali się praktycznie od dziecka. Razem wychowywali się w siedzibie Bractwa – bunkrze w Zaginionych Wzgórzach. Byli w tym samym wieku, 31 lat. Równocześnie rozpoczęli szkolenie wojskowe, i to właśnie ono ich tak do siebie zbliżyło. Po jego zakończeniu służyli w jednym oddziale pod dowództwem rycerza Wilhelma Collinsa. Ramię w ramię walczyli na wielu misjach, razem zbierali zaszczyty ale także czasami nagany. Zaczęto ich żartobliwie nazywać syjamczykami, ponieważ byli prawie nierozłączni. Akon cenił w Michale najbardziej uczynność i chęć niesienia pomocy. Zawsze mógł na niego liczyć. Ponadto Michael potrafił zarażać entuzjazmem. Gdyby nie on, to Akon do dzisiaj pewnie niewiele by wiedział o technologii spoza kręgu militarnego. Właśnie to, że Michael miał takiego bzika na tym punkcie sprawiło, że Akon czasami zajrzał do książek, czy holodysków z informacjami o technice.

Michael natomiast uwielbiał w Akonie jego poczucie humoru. Setki razy rozweselał go dowcipami, śmiesznymi historiami, czy nawet żartami o samym sobie. Często dodawał mu tym otuchy, zwłaszcza na misjach, kiedy strach wiele razy przeszkadzał prawidłowo funkcjonować.

Z biegiem czasu w Bractwie coraz częściej dało się słyszeć głosy, że powinno ono rozszerzyć członkostwo na ludność zamieszkującą pustkowia, co spotkało się ostrym sprzeciwem większości członków Bractwa. Mimo wszystko opozycjoniści stali się liczniejsi niż ktokolwiek mógł przewidzieć, choć i tak byli za słabi, by przekonać większość. Michael przyznał im rację i stanął po ich stronie, tymczasem Akon trwał przy starych regułach i poglądach. Jeden pozostawał głuchy na argumenty drugiego i tak ich przyjaźń zaczęła się psuć. Jednak prawdziwa przyjaźń, a ich z pewnością taka była, prawie zawsze przetrwa coś takiego jak różnicę poglądów. Musiało być pomiędzy nimi coś jeszcze, coś co by przepełniło czarę goryczy. I coś takiego rzeczywiście istniało.

- Co tam u Aśki? – spytał Michael

Czoło Akona zmarszczyło się, twarz wykrzywił zły grymas.

- Nie twój zakichany interes. – wycedził.

Michael westchnął. Otworzył małą szafeczkę i wyjął sztywny, gumowy kawałek prymitywnego węża służącego do podlewania roślin w ogrodach. Był on jednak czymś wypchany, Akon nie zdążył się temu bliżej przyjrzeć, gdyż Michael szybkim ruchem owinał go sobie wokół szyi, po czym zetknął dwa końce ze sobą wydając ciche szcęknięcie. Kawałek gumowego węża wisiał teraz wokół szyi Michaela a niczym jakiś sznur z koralu.

- Co to jest? – spytał podejrzliwe Akon.

- Nic. Ozdoba. – odparł lakonicznie Michael.

- Nie kombinuj, i tak mi nie uciekniesz, widzisz co mam na sobie.

- Widzę. Spokojnie nie mam zamiaru uciekać.

- Posłuchaj – rzekł zniecierpliwiony Akon – chciałeś ze mną porozmawiać, rozmawiajmy więc i nie traćmy więcej czasu.

- Chciałem zapytać o kilka rzeczy.

- To pytaj.

Michael milczał przez chwilę. Wyglądało, jakby ostrożnie układał w myślach co chce powiedzieć. Jednak spytał po prostu:

- Co słyhać w Bractwie? Kiedy odchodziłem nie było za wesoło...

- „Kiedy odchodziłem” ciekawie powiedziane, a może lepiej „kiedy uciekałem”?

- Jak chcesz: kiedy uciekałem nie było za wesoło. – powtórzył Michael

Zdawało się, że Akon stosownie skomentuje tak głupie w tej sytuacji pytanie, widocznie jednak się powstrzymał, ponieważ udzielił Michaelowi odpowiedzi.

- W dalszym ciągu nienajlepiej. Te pieprzone Super Mutanty są dla nas jak wrzód na tyłku nie pozwalający nawet usiąść. Od twojego odejścia odnieśliśmy parę mniejszych zwycięstw, ale jeszcze bardzo daleko do sytuacji, którą można by określić jako „dobrą”. Twoje odejście tylko pogorszyło sprawę... człowieku, stałeś się symbolem tych idiotów gadających o rozszerzeniu członkostwa, paru poszło nawet w twoje ślady i też zdezerterowało, na szczęście nie był to nikt ważny i szybko dosięgła ich sprawiedliwość.
- Dopuszczenie świeżej krwi, to przyszłość Bractwa. Wkrótce będzie nas za mało, żeby spełniać naszą misję, żeby stawiać czoła Mutantom, to jest po prostu konieczne, a przy okazji naprawdę i na poważnie zaczniemy cywilizować pustkowia, bo do tej pory tylko pusto się o tym gadało...
- „Nasz”?! „Nas”?! – przerwał Akon – nie rozpędzaj się tak, ty już do nas nie należysz i nigdy nie będziesz należał! I przestaliśmy o tym gadać, już dość słów zmarnowaliśmy na ten temat. Chciałeś jeszcze o coś zapytać?
- John Maxson dalej jest Czcigodnym Starszym?
- A niby dlaczego... – Akon spojrzał na Michaela złym wzrokiem – a niby dlaczego nie?
- Nie wiem... tak się pytam. A jak mnie znaleźliście?

Akon uśmiechnął się:

- Bardzo prosto. Zostawiliście za sobą sporo śladów. Widziało was wielu ludzi jak wędrowaliście, więc wyśledzenie was naprawdę nie było trudne. Szczerze mówiąc zawiodłem się. Znając cię, myślałem że lepiej się ukryjesz... dlatego też zostałem wyznaczony do tego zadania. Dowództwo wiedziało, że znam cię jak nikt inny i z tego względu będę miał najmniejsze kłopoty z odnalezieniem cię. Prawdę mówiąc, nie miałem żadnych problemów, prócz jednego – czasu. Pościg opóźnił się przez pewną awarię jaką mieliśmy w bunkrze... ale o tym później. Dlatego dotarłem do ciebie dopiero teraz.
- Jaka awaria?
- Później. Pozwól, że teraz ja o coś spytam: dlaczego nazywają cię „Wiki”?
- To w jakimś języku znaczy „encyklopedia”... nie pamiętam w jakim. W każdym bądź razie jeden z nich – głową wskazał mieszkańców wioski stojących w pewnym oddaleniu i próbujących dojrzeć co się dzieje w jego szalasię – nazwał mnie tak, bo jestem ich skarbnicą wiedzy, że wiem znacznie więcej niż oni, i że o wszystko mogą się mnie zapytać. Z czego się śmiejesz?
- Dawno nie słyszałem, czegoś głupszego, hehe. Ale dość tego, pakuj się szybko, o ile masz co, i ruszamy do Bractwa na sąd.
- A po co mam iść? Czeka mnie śmierć przez rozstrzelanie, mogę równie dobrze zginąć tutaj, walcząc z tobą... – stwierdził gorzko Michael.

Akon westchnął.

- Dobra, nie chcę mi się wielce z tobą użerać podczas podróży, w końcu to ponad 800 kilometrów... Dlatego powiem ci coś, co sprawi, że wrócisz bardzo chętnie.
- Zamieniam się w słuch.
- Chodzi o tą awarię. Byłeś technicznym geniuszem... sam też programowałeś i konserwowałeś cały system komputerowy bunkru, za co wszyscy byli ci bardzo wdzięczni. Teraz ktoś ostro tam namieszał. Michael, potrzebujemy twojej pomocy... nikt nie potrafi tego naprawić, a sytuacja jest, jak sam to określiłeś, niewesoła. Bez sprawnego systemu komputerowego jesteśmy jak ślepe ghule – słabi, wręcz bezbronni. Musisz to przywrócić do stanu poprzedniego, inaczej, szybko może być po nas.

- Ale zaraz! – zawołał Michael ze zdziwieniem – jak to się stało? Przecież żeby ktoś zhakował system, musiałby wejść do bunkru, dostać się jednego z trzech głównych komputerów i znać zabezpieczenia, hasła itd. A tam przecież obcy praktycznie nie bywają.
- I to jest w tym wszystkim najgorsze. Podejrzewa się zdradę... że mamy szpiega w bazie. Uważamy, że za tym wszystkim stoją Super Mutanci. – powiedział Akon ponuro – Dlatego Bractwo postanowiło cię oszczędzić, a nawet pozwolić ci znów zamieszkać w bunkrze. Nigdy nie staniesz się na powrót członkiem, ale zostaniesz jak gdyby zatrudniony przez nas, a twoim obowiązkiem będzie dbać o system komputerowy Zaginionych Wzgórz.

Michael milczał chwilę. Spuścił głowę, a wzrok utkwiał w jakimś nieokreślonym punkcie. Po chwili spytał:

- A jeśli się nie zgodzę?
- Twoja zgoda nie ma tu nic do rzeczy. Wrócisz – dobrowolnie lub nie, ale wierz mi, wrócisz. – odparł gorzko Akon – Już ja się o to postaram. Teraz pakuj się, jeśli masz coś do zapakowania. Czekam na ciebie na zewnątrz.

Akon wyszedł z szałasu Michaela. Na jego widok tłum ciekawych mieszkańców wioski cofnął się nagle wydając lękliwe głosy. Akon praktycznie nie zwrócił na nich uwagi, tylko stanął kilka kroków od szałasu i spojrzał na północ, jakby czegoś stamtąd oczekiwał. Tam jednak rozpościerało się tylko szare niebo a pod nim niekończące, wydawałoby się, połączenie suchej zniszczonej trawy. Sama trawa była czymś niezmiernie rzadkim na pustkowiach, nawet tak kiepska jak ta tutaj.

Po chwili pojawił się obok niego Michael z małym workiem zarzuconym na plecy.

- Mam jeden warunek... – nie dokończył, gdyż Akon ryknął opętańczym śmiechem.
- HAHAHA... Ty... hehe... ty mi stawiasz warunki? W twojej sytuacji? Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy co się dzieje!
- To wy nie zdajecie sobie sprawy co się dzieje! – w głosie Michaela zagrała ostra nuta – Ty i całe Bractwo Stali! Sam powiedziałeś, że jestem wam potrzebny. Żywy! A co jeśli się postaram, żebyście żywcem mnie nie wzięli?
- Mamy na to swoje sposoby, przecież wiesz. – odparł spokojnie Akon
- Ale sytuacja jest wyjątkowa. Mój warunek jest następujący: zabieramy ich wszystkich – ręką zatoczył szerokie koło wskazując na osadę.
- Chyba cię poje...
- Jeśli nie, to zginę! – przerwał mu Michael. – widzisz to cacko, co mam na szyi? W środku jest dość senteksu, żeby rozwalić moją górną połowę ciała w drobny mak. Ma ono też wbudowany pewien rodzaj odbiornika, który odbiera sygnały od nadajnika będący w tej chwili wszczepiony głęboko pod skórę jednego z nich. Nie powiem wam którego. Jeśli odległość między mną a nadajnikiem przekroczy dziesięć kilometrów – bum! Nie macie wyboru, musicie zabrać wszystkich.

Akon milczał wpatrując się w oczy Michaela Granta. Oboje twarze mieli zmarszczone w gniewie, a wszystkie mięśnie napięte.

- Ty oszalałeś. – spokojnie stwierdził Akon – Chcesz być męczennikiem? Za nich? Za tych gówno wartych dzikusów? Czy naprawdę postradałeś zmysły do tego stopnia, że chcesz dla nich zaryzykować życie? A w ogóle skąd mam wiedzieć, czy to co mówisz jest prawdą?
- Sam to zbudowałem. Po drodze tutaj. Wiedziałem, że prędzej czy później mnie znajdziecie i będziecie chcieli mnie postawić przed sądem – ku przestrodze dla innych potencjalnych dezertów. Tak czy inaczej chcielibyście mnie żywego. Przeczuwałem też, że ty będziesz dowodził poszukiwaniami, a ty nigdy w życiu nie

schrzaniłbyś powierzonej misji. Czy wciąż starasz się o awans? A może już nie jesteś starszym rycerzem, może już awansowałeś? Co? Akon?

- Zamknij ryj – wywarczał Akon groźnie – Blefujesz...
- Ach tak? Kiedyś już budowałem podobne rzeczy, nie pamiętasz?

Pamiętał. Kilka razy taki prowizoryczny wynalazek uratował im skórę podczas paru misji. Najbardziej utkwiała mu w pamięci misja w mieście zbudowanym na fundamentach złomowiska, nazwy już nie pamiętał. W każdym razie nie mieli już amunicji, a w dalszym ciągu szukali ich uzbrojeni bandyci. Oddział skrył się w wąskim przejściu na jednym ze skrajów złomowiska jednak nie miał żadnej drogi ucieczki. Prędzej czy później by ich znaleźli i byłby to ich koniec. Michael w porę zauważył, że w miejscu gdzie się schowali, leży pełno różnych śmieci, a nawet trochę czystego materiału wybuchowego, Akon dokładnie nie pamiętał jakiego. Michael umieścił te ładunki po obu stronach wąskiego przejścia, i połączył je linką, mocując do niej też prymitywny zapalnik. Przerwanie linki spowodowałoby eksplozję. Członkowie oddziału oddalili się na bezpieczną odległość, a jeden z nich wziął do ręki wielkie metalowe wiadro i narobił potężnego hałasu, który miał za zadanie zwabić bandytów. Tak też się stało. Kiedy ostatni czterech członkowie bandy pojawili się w przejściu nastąpił wybuch. Michael chyba jednak przesadził z ilością ładunku wybuchowego, gdyż mimo znacznej odległości od miejsca eksplozji zostali obficie opryskani krwią. Mało tego: jednemu z tych typów oderwało nogę, która wleciała wysoko w powietrze i spadła wprost na głowę dowódcy powodując guza. Ludzie z Bractwa przez długi czas mieli z tego ubaw po pachy.

Ale co Akon miał teraz zrobić? Wyglądało na to, że Michael rzeczywiście trzymał go w szachu. Intensywnie myśląc szukał wyjścia z sytuacji: na oko jest tych dzikusów czterdziestu pięciu... do naszych dwóch hummerów i jednego transportera zmieści się góra piętnastu. Na piechotę iść nie możemy, bo ta cholerna podróż trwałaby miesiąc zamiast trzech dni... A gdyby tak ich wszystkich pozabijać, wypatroszyć i wziąć ten cholerny nadajnik razem ze sobą? Ale wtedy ten pieprzony obrońca uciśnionych już na pewno by nam nie pomógł, bo zabiliśmy jego nowych przyjaciół...

Akon rozumiał, że wyjście z sytuacji może być praktycznie tylko jedno: takie jakie proponuje Michael, co doprowadzało go do szaleństwa.

- Kurwa! – wrzasnął. Jednak zdecydował, że jeszcze spróbuje mu przemówić do rozsądku.
- Gerver!
- Tak jest?
- Wezwij resztę przez radio! Mają się tu zjawić migiem!
- Robi się! – odrzekł jeden z Braci w pancerzu środowiskowym.
- A ty mnie posłuchaj! – rzekł Akon podchodząc gwałtownie do Michaela, który mimo wszystko trochę przestraszony jego miną cofnął się mimowolnie – Pomyśl! Chociaż raz dzisiaj! Bractwu przez tą awarię grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, dlatego musimy wracać jak najszybciej, żeby naprawić ten cholerny system komputerowy bunkra. Jak najszybciej – rozumiesz co mówię? Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby o tej awarii dowiedziały się Super Mutanty, to przecież idealna okazja dla nich żeby dobrać się Bractwu do dupy! Jeśli z nami pójdziesz tylko ty sam dotrzemy do Zaginionych Wzgórz w około trzy dni, biorąc ich wszystkich zajmie nam to co najmniej miesiąc, a liczy się każdy pierdolony dzień! – rozległ się cichy, stłumiony warkot silników, zza krawędzi pagórka wyjechały trzy samochody i szybko zaczęły się zbliżać – Oprócz mnie i tych dwóch w środowiskowych jest nas jeszcze siedmiu, do samochodów zmieścimy około piętnastu, ale nie zdołamy zabrać ich wszystkich, do cholery!
- Macie problem, ja zdania nie zmienię – odparł zimno Michael

Tymczasem dwa hummery i jeden transporter opancerzony zatrzymały się tuż przy nich. Hummery miały za kabiną pasażerską zainstalowaną ciężką broń maszynową przy której stał członek Bractwa. Po chwili reszta oddziału wysiadła z pojazdów i zbliżyła się do nich. Wszyscy byli mężczyznami w metalowych pancerzach, i wszyscy z wyjątkiem kierowców uzbrojeni byli w różne karabiny.

- Czy tobie już naprawdę nie zależy na Bractwie? Wcale? Przecież to dzięki niemu jesteś tym kim jesteś. Dzięki niemu przez wiele lat żyłeś na wysokim poziomie, i wreszcie to dzięki niemu nie musiałeś się nigdy zniżyć do poziomu dzikusów takich jak ci! Czy oni w ogóle są tego warci? Czy oni w ogóle rozumieją co ja mówię? Albo chociaż o czym ja mówię?
- Oni mogą być przyszłością Bractwa! – rzekł Michael z mocą – Bractwo potrzebuje świeżej krwi i to jest właśnie ta krew, ci ludzie. Zobaczysz jeszcze mi podziękujesz.
- Jeśli nie wrócimy na czas Bractwa może już w ogóle nie być. Może już nie istnieć! Nie zdajesz sobie z tego sprawy?! Przecież wiesz jak ważny jest sprawny system komputerowy w bunkrze!
- Kapitanie – odezwał się nieśmiało jeden z podwładnych Akona. Co prawda w Bractwie nie było takiego stopnia jak „kapitan” ale tradycyjnie tak zwracano się do dowódcy akcji. Nikt już nie pamiętał skąd się ta tradycja wzięła. – Kapitanie, a czemu tego po prostu nie zdjąć..?
- Każda próba skończy się wybuchem – natychmiast odrzekł Michael.

Akon westchnął. Dał swój hełm jednemu z podwładnych, a sam oboma rękami mocno podrapał się po głowie, jakby w nadziei, że to choć trochę pomoże w istniejącej sytuacji. W tłumie dzikusów nastąpiło lekkie ożywienie, wszyscy ze wszystkimi o czymś dyskutowali. Akona gównie obchodziły ich dyskusje.

Nagle odwrócił się, podszedł do Michaela i mocno uderzył go w brzuch, całkowicie zapominając, że jest ubrany w pancerz wspomagany. Micheal wręcz oderwał się od ziemi i wylądował parę metrów dalej rozsypując zawartość niewielkiego, który Michael jeszcze przed chwilą trzymał. A zawartością było parę zeszytów.

Akon, w kompletnej ciszy jaka zapadła, wolno podszedł do worka, pochylił się podniósł jeden zeszyt i zaczął go przeglądać. Obok Michael próbował złapać oddech i ostatekiem sił woli wstrzymywał się od wymiotów.

Rzecz jasna po awarii dokładnie przeszukano wszystkie rzeczy jakie pozostawił po sobie Michael, w nadziei, że zostawił chociaż swoje notatki dotyczące systemu komputerowego. Nie znaleziono ich. Stwierdzono więc logicznie, że sabotażysta (lub sabotażyści) musieli dotrzeć do nich pierwsi. Teraz jednak, sytuacja dostatecznie się rozjaśniła.

- To ty! – krzyknął Akon.

Błyskawicznym ruchem wydobył z kabury Desert Eagle’a drugą ręką podnosząc wciąż potwornie dyszącego Michaela do poziomu swoich oczu.

- To twoja sprawka! Ta cała awaria... wiedziałeś, że najpierw sami będziemy chcieli sobie z tym poradzić, dlatego zabrałeś te swoje notatki, które ni w cholere nie mogły się przydać na pustkowiu. – wycodził mu prosto w twarz. – Powinienem ci teraz zwyczajnie strzelić w łeb... co ty sobie myślisz?
- Ja... – Michaelowi wciąż ciężko było mówić – wyświadczam Bractwu przysługę... kiedyś mi podziękujecie... zobaczycie...

Akonowi nagle przypomniały się słowa Maxsona, które ten do niego wyrzekł na odprawie: „Gdybyśmy mieli te jego cholerne notatki, to on nie byłby nam wcale potrzebny.”

- Nie sądzę – twarz Akona rozszerzyła się w uśmiechu – naprawdę nie sądzę. Puścił Michaela, który wolno usiadł na ziemi. Zwrócił się do działonowych:
- Zabić ich. Wszystkich.

Działonowi spojrzeli niezdecydowani na siebie. Mają strzelać do bezbronnych, bogu ducha winnych dzikusów? Akon, który już zebrał wszystkie notatki Granta ponowił rozkaz groźnym tonem nie znoszącym sprzeciwu. Gestem reszcie kazał wziąć Michaela i usunąć się z linii strzału.

Następnie rozpoczął się groteskowy taniec śmierci. Równocześnie rozległy się strzały z obu ciężkich karabinów maszynowych zamontowanych na hummerach, wydając dźwięk kojarzący się z końcem świata. I ten koniec nastąpił, przynajmniej dla tej grupy dzikusów zgromadzonych w niewielkiej odległości od członków Bractwa Stali.

Michael patrzył jak kilku pierwszych jego niedawnych przyjaciół jak gdyby gwałtownie zadrgało opryskując krwią okolice, paru następnych impet kul odrzucił w tył, prosto na stojących za nimi dzikusów. Julii, matce tej sympatycznej dziewczynki, seria z karabinu wręcz odcięła głowę, która spadła do jej stóp po to, by zostać za chwilę przykryta opadającym ciałem.

Dopiero w tym momencie cała reszta rzuciła się do ucieczki.

Uciekać, rzecz jasna, nie było gdzie. Próbujących tej beznadziejnej próby skoszono niczym trawę. Reszta próbowała się chować za szalasami, co też nie dawało żadnego schronienia, ponieważ pociski tego kalibru bezproblemowo przesywały na wylot ścianki prymitywnych konstrukcji.

Wszystko trwało trzy minuty, po których zapadła śmiertelna cisza.

Akon, schowawszy notatki do samochodu, uniósł oniemiałego ze zgrozy Michaela w powietrze, podszedł do największego skupiska trupów i rzucił go między nich. Twarz Michaela wylądowała w mokrej mieszance ziemi i krwi. Uniósł głowę. Dwa metry po lewej dostrzegł małą Julkę. Nie miała już brzucha, a leżała otoczona swoimi własnymi wnętrznościami, wśród których pobłyskiwał nadajnik wszczepiony jej niegdyś właśnie po to by być przydatnym w tym dniu, kiedy odwiedzi ich delegacja z Bractwa. Michael rozpaczliwie jęknął.

- Posłuchaj mnie, ty zasrane obrońco uciśnionych. – Przemówił Akon – Wbrew pozorom to nie ja ich zabiłem tylko ty. Teraz żyj tu sobie z tą świadomością.

Odwrócił się i podszedł do swojego oddziału.

- Znaleźliśmy go martwego, a przy trupie były te jego pieprzone notatki, toteż wzięliśmy je i wróciliśmy. – głos Akona był mroźniejszy niż zima atomowa – Tak powiemy w Bractwie. Czy to jest jasne?

Wszyscy z wolna, niepewnie pokiwali głowami. Nie chcieli i nie mieli odwagi dobywać głosu. Większość, a zwłaszcza działonowi, zastanawiała się jak będą w stanie dalej żyć z taką masakrą na sumieniu.

- Wracamy – rzekł Akon i wsiadł do samochodu.

Reszta również załadowała się do wehikułów i po chwili odjechała. Michael pozostał sam na sam z czterdziestoma sześcioma ciałami jego niedawnych przyjaciół. Płakał. Po cichu. On też nie chciał dobywać głosu. W tym miejscu do końca świata powinna panować cisza.

Świeża krew z wolna wsiąkała w ziemię, krzepła w promieniach słońca przesłoniętego przez szare, ponure chmury. W skupisku zwłok jeden żywy człowiek drgał spazmatycznie płacząc po cichu, a istoty za nią odpowiedzialne odjechały. Wydawało się, że oprócz Granta, w promieniu wielu kilometrów nie ma żywego ducha.

I tak było w istocie.